

Wahając się pomiędzy miłością dla siły i mocy a między mdlejącą siłą swobody, problemu nie rozstrzygam. Oddaję go, jak brylant, w ręce wasze. Problemem to jeden z najcięższych, który żyje życiem odruchów, problemem, który boją się ludzie w ręce brać i wołają nad brylantem prawdy błyskotki szychu i pozoru.

A problem wśród nas żyje i swe istnienie tarciami społecznymi przejawia, głosząc groźbę zagłady — tym czy innym: czy dzieciom swobody, czy dzieciom nakazu, czy demokracji, czy wojsku.

CZEREMOSZNO ¹⁾

(6 lipca 1924 r.)

Z inicjatywy i przy pomocy finansowej Piłsudskiego wyszedł w 1924 r. tom I «Wspomnień legionowych» pod redakcją Janusza Jędrzejewicza nakładem, niedawno wtedy stworzonego «Instytutu Badań Najnowszej Historii Polski». Do tego wydawnictwa napisał Piłsudski wspomnienie o swoich przeżyciach podczas marszu z Kowla do Czeremoszna w dniu 15 września 1915 r.

Dla zrozumienia tych wspomnień konieczne jest przypomnienie wypadków, które zaszły od 11 września 1915 r., w którym to dniu Piłsudski powrócił z Warszawy do Brygady, stojącej wówczas w Kowlu na Wołyniu. Wszystkie siły Legionów były w tym dniu rozrzucone na ogromnej przestrzeni od Kaszówki nad rzeką Stochód, przez Powursk, Czeremoszno, Zaprudie aż po Wyżwę, osłaniając tym olbrzymim przęsłem 60 kilometrów frontu obejmującym łukiem Kowel od wschodu i północy.

Praca wojenna w tym okresie, nosząc charakter działań osłonowych, nie była trudna, wycieńczyła jednak wojsko i stwarzała mu wiele niespodzianek. To też bezplanowość i nerwowość pracy Austriaków pociągała za sobą wyrzucanie oddziałów do najrozmaitszych działań, rozbijanie związków, przerzucanie wojsk z jednego krańca frontu na drugi, zależnie od lokalnych uderzeń rosyjskich. Na tem tle doszło do zajścia, którego treścią jest wspomnienie Piłsudskiego pt. «Czeremoszno».

Dnia 14 września dowódca 4-ej armii austriackiej roz-

¹⁾ Wieś na Wołyniu, 26 km. na północny wschód od Kowla.

kazał Komendzie Legionów wysłać dwa bataliony z Kowla na południe, na Otykę, zostawiając poza tym reszcie niezmiennione zadanie. Komenda Legionów poleciła odkomenderować te bataliony Komendzie I Brygady, naczynając na ich dowódcę szefa Sztabu I Brygady, podpułkownika Sosnkowskiego.

Piłsudski postanowił nie dopuścić do tego. Na popołudnie tegoż dnia zwołał odprawę wszystkich wyższych oficerów I Brygady, będących w Kowlu. Na zebraniu tym przedstawił całość sytuacji ogólnej i wojskowej i swoje przewidywania co do dalszych możliwości pracy. Podał pod rozwagę zebranych oficerów różne sposoby wyjścia Brygady z niezwykle trudnej sytuacji ideowej. Pierwszy — to ustąpienie swoje z Legionów, porzucenie Brygady i wyjazd do Warszawy dla osobistego poprowadzenia głównej pracy politycznej; drugi — to ustąpienie wszystkich oficerów, a zatem rozwiązanie Brygady. Inne możliwości — to trwanie w sytuacji obecnej, robienie skandali, albo też wreszcie poddanie się Brygady pod względem ideowym, zastriczenie jej.

Ogromna większość oficerów wypowiedziała się za ogólnym poddaniem się do dymisji, odrzucała natomiast myśl pozostawienia Brygady bez Piłsudskiego.

Piłsudski zdecydował się wtedy pozostać w Brygadzie. Dla prowadzenia prac na terenie Królestwa postanowił wysłać Sosnkowskiego z kilku oficerami, przeznaczonymi do pracy kierowniczej w P. O. W. Ażeby zaś nie dopuścić do rozbitcia Brygady przez wysłanie dwóch batalionów na południe, zarządził fałszywy alarm.

O godzinie 3 rano dnia 15 września na obsadzonym przez oddziały obserwacyjne «przedmościu» kowelskim odezwała się gwałtowna strzelanina i w chwilę później przyniesiono do Komendy Brygady meldunek od porucznika Wojsznara-Opiełińskiego, dowódcy kompanii, o zaatakowaniu jej na przedmościu przez kilka sotni kozaków. Natychmiast zarządził alarm wszystkich oddziałów I Brygady w Kowlu i ich wymarsz.

Dalszy ciąg wypadków opisany jest w niżej przytoczonym wspomnieniu, które podajemy według t. I «Wspomnień Legionowych» («Ignis» Warszawa 1924 str. 207.).

Ledwie zdrzemnął, gdy mnie obudzono. Zgodnie z rozkazem, wieczorem przeze mnie wydanym, Brygada cała jest zaalarmowana. Na tzw. przedmościu słyszano strzały, a Opiełiński¹⁾ przysłał ułożoną z góry wiadomość, że ma przed sobą kozaków. Wymaszerowujemy. Gorąca herbata już jest na stole, konie rozkazano siodłać, a w całej Komendzie Brygady zwy-

¹⁾ Porucznik Wojsznar-Opiełiński, wówczas dowódca 3-ej kompanii I batalionu 1-go pułku, później komendant naczelny Polskiej Organizacji Wojskowej w Warszawie (K. N. 1), a potem w Lublinie (K. N. 4), umarł w październiku 1918 r.

kły ruch ordynansów, pakujących szybko rzeczy i bagaże, by tabor brygadowy nie opóźniał pochodu. Dusi mnie dotąd i złość jakaś bezmierna, i pusty śmiech. Po oczach oficerów sztabu widzę, że doskonale wiedzą, co się święci. Chcieliby nawet żartować, lecz widząc mnie surowo namarszczonego, wyciągają poważnie twarze, a śmiać się im chce, jak wesołym chłopcom, gdy płatają figla. Herbata przełknięta — odmarsz, panowie!

Na dworze jeszcze ciemno. Kasztanka stoi przed gankiem już pod siodłem i niecierpliwie się kręci. Zobaczyła mnie i zwykłym ruchem wyciąga pysk po chleb, który trzymam w ręku. Na ulicach i uliczkach w okolicy mej kwatery słyszę zwykły przed odmarszem rejwach. Słysząc już turkot wozów i armat, tupot nóg kolumn kompanijnych, wymaszerowujących na miejsce zbiórki batalionów. Za chwilę opuścimy Kowel, który śpi jeszcze i nigdzie nie daje znaku życia.

Otwieram w dziwaczny sposób nową kartę historii naszej. Ze śmiechem pustym myślę, jak za parę godzin w szanownej «K. und K. Kommando von Legionen»¹⁾ dziko otworzą oczy na wiadomość, że cała Brygada odmaszerowała w pościgu za kozakami i że zatem wychodzi z pod jej łaskawej opieki. Lecz jazda! I za chwilę kasztanka wykręca w jakieś uliczki wąskie i brudne, z których wydostajemy się szybko za miasto. Tu już kolumna się wyciąga, dymią kuchnie, podciągają wozy taborowe, szukając swego miejsca. Śmigły²⁾ melduje mi stan rzeczy. Dają rozkaz odmarszu do Czeremoszna, z zatrzymaniem w pół drogi na parę godzin dla przerwy obiadowej. Liczę, że w Czeremosznie piechota będzie gdzieś na godzinę 4—5. Kozaków w drodze nie przewiduję żadnych, więc polecam nie zwracać uwagi na mnie; Śmigły otrzyma dalsze rozkazy w Czeremosznie.

Puszczam cugle kasztance, gdy kolumna już jest w ruchu. Klacz wyciąga nogi w stępie, wyprzedzając zwolna kompanię za kompanią. Czuję wciąż na sobie oczy żołnierzy i oficerów. Jest w nich zapytanie, marsz ten jest dla nich niespodzianką. Oficerowie salutują i, udając powagę, dają poznać, że oni doskonale wiedzą, o co chodzi. Żołnierze nie udają nic i starają

¹⁾ «K. u. K. Kommando von Legionen» — oficjalny, przez władze austriackie nadany Komendzie Legionów tytuł brzmiał: «Kaiserliches und Königliches Kommando der polnischen Legionen». Tytuł ten niedwuznacznie podkreślał austriacki charakter Komendy Legionów, stąd też przez jej członków w stosunkach wewnętrznych używany niechętnie, a podkreślany złośliwie przez I Brygadę.

²⁾ Ppłk. Edward Rydz-Śmigły był wtedy dowódcą 1 pułku.

się z twarzy Komendanta wyczytać odpowiedź na pytania, które sobie stawiają. Witam się co chwilę, rzucając od czasu do czasu żartobliwe słowo. Kasztanka nie lubi tłumu i towarzysztwa. Kiwa wesoło łysym łbem, omija starannie najmniejszą kałużę, nie chcąc zabłoczyć pończoszek parska, jak gdyby mówiła «a ja wiem, a ja wiem». Nie dba o nic głupia klacz, gdy nie słyszy strzałów. Jestem już przy czołowej kompanii. Z dała na szarej drodze widać plecy szarej drobnej kolumny — to kompania awangardowa, spiesząca, by wziąć należyty od kolumny przedział. Gdy mijam już czoło, oficerowie salutują, a w oczach żołnierzy widzę naganę dla mego postępowania. «Znowu Komendant będzie maszerował z awangardą, także zwyczajel!»

Wreszcie jestem na drodze sam. Za mną kilku oficerów i grupka konnych ordynansów. Żadnych oczu nie czuję na sobie, żadnych pytań do mnie skierowanych, żadnych niedyskretnych kwestyj o tym — «co będzie?» Bo co ja mogę wiedzieć, co właściwie będzie? Ileż razy wściekałem się na to głupie pytanie! Dziwna rzecz, jak to jest śmieszne — im człowiek jest głupszy, tym bardziej szuka pewności tam, gdzie żaden rozumny człowiek pewnym nie jest. Tak i w tej kochanej ojczyźnie, gdy się tylko zacznie rozmawiać, zawsze to samo: trzeba wiedzieć na pewno, co jutro będzie, dopiero wtedy jest się rozumnym. Trzeba wiedzieć, ale to tak na pewno, by to głupie pytanie rozwiązywać, jak najprostsze arytmetyczne zadanie, wtedy dopiero ma się patent na rozum. A im głępszymi argumentami się operuje, tym pewniejszym jest efekt i tym pewniejszy patent. Np., to wiecznie żydowskie pytanie, która strona wygra? Bo by taki pytający wiedział przecie z kim trzymać i, co główna, komu służyć. Nic nie pomoże odpowiedź, że nikt na świecie z tych, co wszystkie nici ma w ręku, na to pytanie odpowiedzieć samemu sobie nie może. Nic nie pomoże! Odpowiadać musi kto? — Polak, który najmniej wie, najmniej rozumie i którego, wysługując się nim, jak bydłem, każdy oszukuje! To dopiero nasz rozum polityczny! W takt kroku kasztanki, która o te mądrości nie dba, a z Żyda i filistra polskiego ma tylko to, że się bardzo, ale to bardzo boi strzałów, wzbiera we mnie wściekłość.

Więc znowu awantura! Kowel za mną, nie czuję nawet «zapachu bardzo zdrowe» tego miasteczka. «Śliczne miasto sobie stoi!»¹⁾ Pamiętam, gdym kilka dni temu, przejechawszy

¹⁾ Cytat z humorystycznego wiersza, bardzo często deklamowanego przez ppor. I Brygady Protasewicza-Suszkowskiego.

setki kilometrów końmi z Warszawy, w Kowlu Brygadę swoją znalazł. Kowel, jak zresztą cała Polska, miał nowego pana. Zniknął «nasz» — Moskał, jest inny pan, nieznany, obcy. Zalał miasteczko masą nowych żołnierzy, zmęczonych wojną, uważających taki Kowel za jakiś raj utracony. Raj ten należy do nowego pana — obcego, nieznanego żołnierza. I nieszczęsny cywil z zamętem w głowie do nowego pana usiłuje się przystosować, coś od niego zarobić, gdzieś go trochę wyzyskać, odnaleźć jego słabe strony. Ba, myślę ze złością, przypominając obrazki kowelskie, cała Polska to samo robi, co te Żydki kowelskie. Może mniej cynicznie, może mniej otwarcie zabiega i szuka jakiegoś nowego «modus vivendi»¹⁾. Tu, w Kowlu, przystosowanie idzie otwarcie. W sklepikach na ladach rozłożone niewielkie ilości tych czy innych towarów, większe składy tego towaru gdzieś ukryte. W sklepikach pełno szwendających się bez celu żołnierzy. Z bezczelną twarzą obmacują wszystko — i wdzięki sklepikarki, i smakołyki na ladzie. Wystraszone, lecz chytre twarze autochtonów mrugają do siebie, chcąc oszukać to na cenie, to na pieniądzach i ich wymianie. Byle handel szedł! Jakies żołnierskie przekleństwo najbardziej cyniczne kręci mi się po głowie i dusi gardło. Tak radzi i Polską gdzieś handlują! Więc awantura!! Z gorzkim uśmiechem przypominam wczorajszy wieczór. Rzuciłem wściekły rozkazy na ziemię²⁾, wyrzuciłem za drzwi oficera z «K. und K. Kommando» legionowej, który mi je przyniósł. Sosnkowskiemu, o którego duszę już chytrze się targowano, nęcąc karierą³⁾, kazałem zachorować. Odmówił mi zastąpienia mnie w dowodzeniu Brygadą, kazałem mu więc wyjechać na tyły i robić jakieś głupstwa w głupiej Warszawie. Wbrew wszystkim rozkazom kazałem, przygotowawszy alarm, wymaszerować, gdzie oczy poniosą — ku nieprzyjacielowi. Będę, psia wiara, charatał się z kozakami sam, bez tych Kościuszków⁴⁾ w obcych mundurach, bez tych szpiegów, udających najgorejszych patriotów, a robiących na naszych plecach karierę austriacką. Kaki⁵⁾ przekłete ze swymi szykanami w sosie patriotów polskich!!

¹⁾ sposobu życia.

²⁾ Mowa tu o rozkazie wysłania dwóch batalionów pod dowództwem Sosnkowskiego do Olyki.

³⁾ W owym czasie Komenda Legionów zaproponowała Piłsudskiemu podanie do awansu podpułkownika Sosnkowskiego.

⁴⁾ W I Brygadzie nazywano żartobliwie dowódców «Kościuszkami».

⁵⁾ «Kaki» — szydercze przezwisko dla «cesarsko-królewskich» («Kaiserliche-Königliche») oficerów z Komendy Legionów.

Dusi mnie pasja jakaś i wściekłość i z tej wizyty mojej w Warszawie, i z widoków kowelskich, i z tych przeklętych stosunków w Legionach, i z tego, że te malcy, idący posłusznie za mną w zwartych szeregach, nie chcieli zwolnić mnie od tej mordegi¹⁾. Awantura! — mają więc awanturę razem ze mną. Idziemy dzisiaj w niewiadomą przyszłość, połamawszy wszystko, co jest rozkazem w wojsku, co jest służbą na wojnie. Idziemy sami ku nieprzyjacielowi, nie szukając nigdzie ani oparcia, ani pomocy.

Uspakajam się nieco, gdy o tej samotnej eskapadzie myśleć zaczynam. Wczoraj studiowałem mapę, wytykając drogę dla niej. Dzisiaj nieprzyjaciela nie mam, będę go miał dopiero jutro. Za Stochodem — też zabawka nowa! — stoi 2-ga kozacka skombinowana dywizja. Tę znam — była pod Kowlem. Teraz, zepchnięta za Stochód, coś zapewne przesłania — ale co? Tego na razie nie wiem, tajemnicę odgadnę dopiero po jutrze. Bo jutro zepchnę ku wschodowi oddziały jej z brzegu Stochodu pewno łatwo. Dalej sam Pan Bóg wie, co robić! Chcę się oderwać od dotychczasowych stosunków, by odejść do innych. Raz już mi się w ten sposób udało, gdym przez Ulinę wyrwał się z opieki I korpusu²⁾. Trafiłem wtedy niezłe. Zdecydowałem skrócić na południe i wyjść gdzieś za Styr koło Czetwiertni³⁾. Tam kończy się Hauer⁴⁾ ze swym korpusem jazdy i przyczepioną do niej «K. und K.» Komendą Legionów. Tam wchodzę w obszar sąsiedniego korpusu jazdy, który jakoby posunął się znacznie ku wschodowi. Może tam będzie lepiej. No, a może skończy się wszystko przez ten skandal, co zrobiłem, i powiedzą mi: dosyć! Tym lepiej! W każdym razie skrócę na prawo ku południowi. Lecz gdzie? Wczoraj zdecydowałem, że zrobię to dopiero po zajęciu Trojanówki⁵⁾, którą na kozakach zdobyć muszę. Lecz czy wtedy Moskale dadzą mi możliwość swe manewry czynić, czy nie skupią większych, nieznanych mi sił przeciw mnie i mojej Brygadzie? Spojrzałem na prawo. Gdzieś w oddali majączy długi szereg słupów. Jest to telegraf, idący obok kolei Kowel—Kijów. Jutro na tym tele-

¹⁾ Aluzja do próśb oficerów, ażeby Piłsudski nie opuszczał wojska dla pracy politycznej w kraju, groziłoby to bowiem rozpadnięciem Brygady. Ustąpienie w tym wypadku pod naciskiem opinii oficerów Brygady kilkakrotnie Piłsudski określał jako błąd w swojej działalności.

²⁾ Por. t. IV., s. 248—305.

³⁾ Czetwiertnia — wieś nad Styrem, 15 kilometrów na zachód od miejscowości Kołki.

⁴⁾ Por. t. IV., s. 66.

⁵⁾ Trojanówka — wieś położona na pln.-wsch. od Hulewicz.

grafie brzęczeć będą depesze, zawiadamiające różne oddziały w tyle za kozacką dywizją. Zwoływać będą być może nowych nieprzyjaciół przeciwko mnie. Machnąłem ręką. Niech! Lepiej to wszystko, niż te wieczne głupie spory samego z sobą, niż te nikczemne szykany tam w Kowlu!

Jutro więc muszę rozerwać zasłonę kozacką, a po jutrze — co Pan Bóg da! Jeżeli za nimi blisko nie stoi nic, dam sobie radę, jeżeli zaś mają gdzieś niedaleko silniejsze rezerwy, może być już po jutrze ciepło i bardzo ciepło! Uspakajam się już teraz zupełnie. W każdym marszu naprzód jest jakiś dziwny urok, który tyle razy odczuwałem, a który zapewne odczuwa każdy oficer, gdy w żyłach krew gorąca mu płynie, a nie cuchnąca ciecz tchórza. Nęci jakaś tajemnica, która wszędzie się czai, wszędzie znaki pytania stawia. Jest ona nieledwie w każdym zdala widzianym krzaku, jak gdyby mówiła — «jestem, jestem, nie zbliżaj się, rycerzu!» Jak w bajce!

Jestem już na miejscu, wyznaczonym na przystanek obiadowy. Spojrzałem na zegarek — mamy jeszcze czasu dosyć, nie chcę męczyć ludzi. Muszą dobrze wypocząć. Jutro będzie ciężkie, a po jutrze jeszcze cięższe! Przyjdą noce niespane, będą nerwy napięte aż do zupełnego wyczerpania. Niech narazie w spokojnym marszu z dłuższym wypoczynkiem nie zmarnują niepotrzebnie sił. Szeroka obszerna polana z ubogimi łąkami. Z dala widać wioskę, do której już widzę zdążające patrole. Kolumna nadciąga. Za chwilę zacznie się zabawa obiadowa. Słabsi położą się natychmiast, wyciągając nogi, silniejsi zrzucą ekwipunek i będą baraszkować. Gdy ochota będzie większa, zagrzmia muzyka i śpiewy. Opanowuje mnie jakieś rozleniwienie. Nie chcę myśleć, ani rozmawiać. Decyduję się po krótkim spoczynku jechać naprzód wprost do Czeremoszna, tak, aby jeszcze na wieczór trafić do Smolar, gdzie Berbecki przygotowuje przeprawę przez Stochód. Sprawdzę stan rzeczy, będę bliżej tajemnicy jutrzejszej.

W zupełnym już rozleniwieniu odjeżdżam od kolumny w stronę Czeremoszna, dokąd już posłano moje wozy i pojechał oficer kwaterunkowy. Nie chcę myśleć o niczym, odkładam wszystko na później. Opanowuje mnie dziecinna ciekawość do nowych miejsc, do nowego, nieznanego dotąd kraju. Kasztanka zna już na pamięć zwyczajne marszowe; wie, że teraz gdzieś niedaleko czeka stajnia, obrok i odpoczynek. Przyspiesza kroku, by prędzej stanąć u mety. Ileż to marszów mamy już za sobą, ileż tych nowych krajów, nowych krajobrazów! A jednak za każdym razem jakaś dziecinna wrażliwość nakazuje oczom szukać jak gdyby całkiem innych, całkiem

nieznanych obrazów. Jak gdyby sosna miała za każdym marzeniem rosnąć inaczej, inaczej bór ma szumieć, inaczej wdzięczyć się brzoza, inaczej kwitnąć kwiaty. Tym razem mogło to być inaczej — wkraczaliśmy i szliśmy w głąb obszaru Polesia i oczy szukały czegoś nowego, nieznanego. Jest dziwny czar wielkiej przyrody, gdy człowiek czaru nie zakłóca. Początek jesieni, ciepły, prawie letni dzień, nie dopuszczający jeszcze myśli, że gdzieś już czai się zima. Pustkowiemie dokoła — z pół wojna wygnała ludzi. Gdziekolwiek stoi dojrzwały nietknięty owies, dość wysokie, prawie ogrodowe grzędy z kartoflami. Człowieka ani dojrzeć. Przyroda łagodnie pieszczołliwym podmuchem lekkiego wiatru powoli koł wzburzone tak niedawno myśli. Z daleka mającą krzyże cmentarza. Jakie dziwne krzyże! Wysokie, z wąskimi ramionami strzelają ku niebu, a dwie włócznie łączą podstawę z ramionami. Niewielka figura Chrystusa ledwie widna gdzieś u góry. Pomimo, że ludność prawosławna krzyż nie przekreślony w żadnym miejscu. Ciekawe — myślę — jakieżby to właściwości duszy ludzkiej tę inną konstrukcję krzyża wydały? Krajobraz przypomina mi nieco mój litewski — wszędzie dokoła horyzont ograniczony ścianą boru, piaski, jak u nas. A jednak jest inaczej — brak weselszych załamań i pofalowań gruntu. Płaska, melancholijna, równa przestrzeń, którą tylko las i wysokie krzyże urozmaicają.

Przyroda robi swoje. Zamiera zupełnie wewnętrzny bunt, jest w powietrzu jakaś kojąca cisza, jakaś chęć zapomnienia o burzach, bólach i walkach. «Nie było nas, był las — nie będzie nas, będzie las» — myślę, i gdzieś powstają jakieś senne, urywkowe wspomnienia z dawnej, dziwnej przeszłości, z dziecinnych przygód przy konnych wycieczkach, z braterskich swarów o przymioty i wartości koni. Nie chce mi się nic, jeno pośmiać się trochę bez troski o jutro, bez myśli złośliwej o czymkolwiek. A już z daleka widzę szeroko rozrzucone Czeremoszno. Na skraju osiedla widać duży park, świadczący o zabudowaniach dworskich, u wejścia do wsi konna postać oczekującego na moje przybycie podoficera-kwatermistrza. Za chwilę zsiadam z konia u wrót do parku. Oficer melduje mi, że cały dwór jest zupełnie zniszczony, ani jednego mebla wewnątrz. Muszę wybrać — albo stanąć we wsi, albo kazać ściągnąć trochę mebli do dworu na nocleg. Obchodzę park i zabudowania. Dziwny dwór! Niczym nie przypomina naszych polskich dworów. Jest kilka will-szaletów, rozrzuconych w parku. Zręcznie wysunięte ganki barwnie oszklone różnokolorowymi szybkami, pokoje o całkiem eleganckiej we-

wewnętrznej strukturze; posadzki i wysokie okna. Dokoła gazony i oranżerie! Lecz jakież głupie, barbarzyńskie zniszczenie! Każda najdrobniejsza szybka rozbita specjalnym uderzeniem, gazony zdeptane, oranżerie połamane, wszędzie mnóstwo kału, w pokojach ani jednego mebla, potłuczone garnki i talerze rozsypane pomiędzy kwiatami. Jakaś mściwa ręka musiała tu pracować i szukać zemsty na wabiącej barwą szybie, na pięknym krzewie czy kwiatku. Dowiaduję się, kto tego barbarzyństwa dokonał. Majątek należy — tak mi doniesiono — do jakiegoś księcia rosyjskiego, który te zalotne szaloty dla swej kochanki pobudował i tu z nią spędzał lato. Zniszczenia dokonano przez włościan, gdy ich ewakuowano, sprawdzono zaś, że meble, a przynajmniej część ich, znajdują się już w posiadaniu Żydów w miasteczku. Decyduję się stanąć we dworze, by być w tym pięknym parku, gdzie stare drzewa mówią o dawnych czasach, a krzewy i kwiaty o gniazdku miłości śpiewają. Chodzę po parku, nim kwatery się oporządzi i nim herbata się zagotuje.

Za chwilę otacza mnie wesola, gwarna «banda», jak ją nazywam, sztabowa. Jest cała podniecona, a widzi mnie uśmiechniętego. Wypadki kowelskie są żywo omawiane z żartem i śmiechem. Wszyscy są zadowoleni — skandal w Kowlu ich podnieca, idziemy wszyscy razem na awanturę, na jakąś nową bajkę, gdyśmy już tyle bajek przeżyli. Jest zupełnie wesoło. Zaczyna się proces ze mną.

— Dosyć tego, Komendancie, — woła gruby doktor ¹⁾, — my chcemy być żołnierzami! Dosyć Komendant nas trzymał w cuglach!...

— Ba! — dodaje inny — a skutek tych cnót, do których nas Komendant zmusza, jest taki, że te Austriaki nas nie chcą uważać za żołnierzy i wciąż nam kłują w oczy, że jesteśmy cywilną bandą!...

Wszyscy zaczynają się przekomarzać ze mną. Jeden przypomina moje ostre określenia z czasów przedwojennych.

— Komendant zawsze mówił, że mamy — my, Polacy — nerwy słabe i sentymentalni jesteśmy, jak histeryczki, że wojny nie wytrzymamy. Tak, tak, oto słowa Komendanta, które pamiętam: — Cóż chcecie? Wojna to jest gwałt i przemoc, to jest pożoga, to jest gwałcenie kobiet, i kto mówi o wojnie, musi wiedzieć, że to jest nieodłączne od wojny. A jakeśmy na wojnę poszli, to halt! Komendant wszystkim kazał być cnotliwymi. Ani na pamiątkę żadnej rzeczy nie wolno zabrać, gdy obok

¹⁾ Mowa o Stanisławie Rouppercie, wówczas lekarzu naczelnym I Brygady.

Węgrzy grabią do cna, zabierają wszystko. Ani nawet płotu nie zniszcz u jakiegoś nickszemnego endeka, gdy obok meblami plecy grzeją. A bądź z każdym grzeczny! Dostyc tego rycerstwa, Komendancie!

Jeszcze jeden filozoficznie dodaje: — Tak, a pamiętacie w tym dworze w Radomskim, gdy Litwinowicz ¹⁾ krowy rekwirował i dziedziczka łamała ręce, że polski żołnierz holenderskiej krówki nie szanuje. Boć jeśli jesteś rycerz, to siedź o głodzie. A Komendant kazał tej jędzy najchudszą krowinę wybrać dla żołnierzy!

— Cha, cha, cha! — zabrzmiał chór śmiechu — pamiętamy, pamiętamy, zaraz przyszedł potem feldfelbel austriacki i na babę huknął. Zabrał jej z obory z dziesięć krów najspokojniej, to dziedziczka prawie gdzieś go z szacunku pocałowała!

— Dostyc, Komendancie, my chcemy być żołnierzami, chcemy rabować, gwałcić. Już niech sobie Polska — już ją mamy za plecami — niech sobie pieści się z nowym «naszym», ale tu dostyc tej cnoty!...

Opadli mnie, śmiejąc się, jak duże dzieci. — Dostyc, dostyc! — ryczy chór cały. Wzięła mnie ich pustota. Zmarszczyłem się i zawołałem. — Dyżurny oficer do mnie!

Wszedł oficer dla wysłuchania rozkazu, wyprostował się, rzucając na mnie pytającym wzrokiem.

— Poruczniku! — dobitnie rozkazałem, zmarszczony — dostarczyć ma pan i zarekwirować jedną Żydówkę, może być i stara, dać ją doktorowi, ma ją przy panu zgwałcić. Wykonanie zameldować!

Wybrałem dobrze. Doktor, żonkoś, który więcej się bał żony, niż Komendanta i wszystkich kozaków na świecie, osłupiał.

— Dlaczego ja, Komendancie? — zapytał.

— Wy tu jesteście inicjatorem, a ja na pewno pani wazszej to powiem. Mam dostyc tych skarg. Albo — albo, mój panie!

Śmiech był powszechny. Wszyscy obiecywali kontrolę nad doktorem. Doktor się oburzał i rzucał. Oficer ordynansowy wodził po wszystkich zdumionym okiem, stojąc dotąd wyprężony na bacność. Śmiałem się i ja.

Wpadł podoficer, przynosząc meldunek Berbeckiego. Rzeczywistość wołała do porządku. Meldował mi, że wszystko do sforsowania Stochodu ma przygotowane, że boi się tylko, czy artyleria przez bród przejdzie i że może lepiej odesłać ją

¹⁾ Aleksander Litwinowicz, wówczas intendent I Brygady.

do Hulewicz ¹⁾, gdzie brody są zupełnie pewne, że wreszcie nieprzyjaciela na wschodnim brzegu jest bardzo mało, że więc przejście ranne jest zupełnie pewne.

Namyslałem się chwilę, wreszcie zdecydowałem. Nocuję tu, w Czeremosznie, do Smolar nie pojedę; wystarczają mi te dane. Wylenię się trochę i skończę ten dzień bez troski, zostawiając kłopoty na jutro. Kłopot był jednak bardzo blisko i moja złota swoboda już się skończyła. Jak na złość, gdym już się przygotowywał do snu, szanowna «K. und K. Kommando» dała znać o sobie. Do Czeremoszna zjawił się oficer z zapieczętowaną kopertą, którą mi wręczył.

Pamiętam, chwilę dobrą kopertę trzymałem w rękę, nie rozpieczętowując. Dziwne, — myślałem — gdybym był się nie lenił i wyjechał, jak zamierzałem, do Smolar, koperta by tu leżała, czekając na mnie, a ja bym spokojnie dalej był swobodnym. W kopercie znalazłem depeszę od arcyksięcia ²⁾, dowódcy armii, z rozkazem, bym jak najprędzej przyjechał do Łucka do jego kwatery. Zaśmiałem się. Depesza musiała być skutkiem mego skandalu, którym w Kowlu zrobił. Chwilę wahałem się. Mogłem swobodnie nie spieszyć i parę dni ściągnąć w wyczekiwaniu, tym czasem zaś zrobić swoje — sforsować Stochód i stanąć w kontakcie z nieprzyjacielem. Dałem jednak spokój. Zdecydowałem jechać zaraz. Rozumiałem, że będę miał bajkę, której chciałem. Szukałem wyjścia, mam je gotowe. Brygada moja zostanie, jak chciałem, na froncie jako szkoła, a ja będę mógł zerwać «bon gré mal gré» ³⁾ z fałszywą sytuacją. Jeszcze kładąc się spać, gdym wydał rozkazy, by Śmigły komendę objął i Stochód jednak forsował w tym czasie, kiedy ja do Łucka pojedę, myślałem ze śmiechem przekory, że los dał mi wygraną nad moimi chłopcami. Jeszcze parę dni temu w Kowlu nie chcieli ani myśleć, by się ze mną rozstać i gwałtem żądali, by iść na skandal z Austriakami razem ze mną. Teraz, będąc w kontakcie z nieprzyjacielem, skandalu żadnego nie zrobią, a ja będę go miał sam w kwaterze arcyksięcia. «Haben sua fata homines!» ⁴⁾

Druskieniki, 6-go lipca 1924 r.

¹⁾ Hulewicze — wieś nad Stochodem, 10 kilometrów na południe od Smolar.

²⁾ Mowa o arcyksięciu austriackim Józefie Ferdynandzie, dowódcy 4-ej armii, któremu Legiony wówczas podlegały.

³⁾ chcąc nie chcąc.

⁴⁾ Przeznaczenie rządzi ludźmi.